

to, aby przejść do sedna rzeczy: my, pielęgnujący, my, oplakujący, tak poradni jak nieporadni, czy aby tak do końca kochaliśmy tego kogoś?

O baśniach wciąż jeszcze mało, jak dotąd. Niemniej, pada oczywiste stwierdzenie, że bohater baśniowy jest zwykle niekochany, a wręcz traktowany podle: łajany, karcony, wyśmiewany, obarczony pracą nad siły, wypędzany z domu a nawet, jak Jaś i Małgosia, przeznaczony na rodzicielski talerz, ponieważ głód panuje i po prostu zapanowało ludożerstwo, a tym samym granice osobistego bezpieczeństwa zostały zdmuchnięte. Nie ma ich! Baśniowemu dziecku zagrażają najbliżsi, czyli ci, którym ono ufało i wedle przykazania miało czcić. Baśniowi rodzice kochają tylko wyjątkowo, a i wtedy miłość ich bywa ślepa i niesprawiedliwa. Mniej cieszny, bardziej okalecza.

Jadwiga Wais ilustruje tutaj problem złożoności naszych postaw i emocji autentycznymi relacjami. Zwykłych ludzi, ankietowanych przez „Gazetę Wyborczą” w ramach wspianej akcji Umierać po Ludzku (była już Rodzić po Ludzku), a także artystów i wybitnych intelektualistów. Aż dwa eseje: „Mit miłości bezwarunkowej” oraz „Mama i matka”. To fakt: Rainer Maria Rilke i Stanisław Brzozowski pisali o otwarciu o swojej nienawiści do matki jako osoby raniąco obojętnej, wrogiej ich duchowemu rozwojowi, jako do osoby wrogiej wszelkim niestosownym (trudnym) pytaniom, podważającej wiarę w siebie i szacunek do siebie samego. Opowieść ponownie Hiobowa, dzięki której szlachetny kruszec dany w relacji z matką Karlowi Gustawowi Jungowi lśni jaśniej i mądrzej, bo już nie jako postulat i nakaz oderwany od prozy życia, ale jako fenomen sam w sobie, jako unikalny dar – dar, dodam, niezasłużony i – temu z kolei Jadwiga Wais nadaje nową treść – dar wcale się nam, dzieciom, nie należący.

To właśnie punkt, w którym autentyczne relacje zwolna ustępują miejsca baśni, a klasyczny esej zmienia się w *stricte sensu* baśń. W baśń o niekonieczności stworzenia sobie klimatu bezpieczeństwa. O prawie do bycia niekochanym, niepodobającym się szacownym autorytetem. Do bycia wykluczonym, bycia odmienicem, do budowania społeczności alternatywnych, niszowych, wędrownych, do zewnętrznej i wewnętrznej podróży. Do, jednym słowem, uznania tego, że nigdy nie „jesteśmy” a tylko się „stajemy”, i – w gruncie rzeczy – jedynie odrzucanie jak łupin z cebuli, kolejnych powszechnie akceptowanych pewników pozwala nam dojrzeć sens własnego zaistnienia. Wais, świadoma tego że dla Junga uwierzyć to uwolnić się z religii (łaciński wyraz *religio* oznacza więzy), wraca po prostu do pytania, jakie postawili helleniści, a które Platon, pomimo swojej fascynacji Sokratesem wyminał: czy jednostka istnieje dla społeczeństwa?

Odpowiedzi Sokratesa nie znamy inaczej niż w pryzmacie platońskim. Tu jednak aż

ciśnię się: społeczeństwo pomaga w przetrwaniu, w dożyciu jakiejś samowiedzy, i przeto stanowi jeden z wielu środków ochronnych. Tak samo jego uświęcone formy: ojczyzna, narodowość, państwo i wspólnota wiernych – one też powstały jako środek przetrwania. Lecz po co właściwie mamy przetrwać i trwać? Po to wyłącznie, aby spłodzić nowe pokolenie skazanych na błędne koło? Czy też wolno nam dokonać wyboru i zarazem herezji?

Czyli – współczuć to uwolnić się od pewników? Być może chodzi właśnie o to. W jednej z baśni z 1001 Nocy bohater ostatecznie przegrywa, ponieważ zawałał się obnażyć własnej matki.

3. Nowe oczy, nowy wzrok

Odważywszy się odrzucić pewniki (powiedzieć należałoby raczej: zmyć je z siebie, bo w „odrzucaniu” tai się agresja), możemy już, oczywiście, niektóre z nich przyjąć za własne, wolno nam jednak je dobierać w kombinacjach zupełnie dowolnych, wręcz beztroskich. Wolno nam bawić się nimi i bawić się własnym dojrzeniem. Temu Wais z wyraźną przyjemnością poświęciła tekst zatytułowany „Śmiech i metafora w chorowaniu i umieraniu”.

W tle oczywiście trwa śmierć, chytra Baba Jaga. A czym lub kim jest śmierć? Kim? Na przykład rzemieślnikiem, jak tyłu innych, mówi baśń braci Grimm. Jak kat, jak hycel, jak rzeźnik, golibroda, felczer, znachorka, krawcowa, kucharz, bo też śmierć niekoniecznie – dla baśni w ogóle broń Boże – przedstawia ostateczny kres. Taka Mokosz trzyma żelazne nożyce i kądziel lub wrzeciono, które to symbole, lepiej nam znane z wizerunków greckich Mojr, łączą w jedno skończoność i ciągłość. Przędza się przędzie, ucięcie nici wcale nie zatrzymuje tej roboty.

W filozofii Jadwigi Wais urzeka mnie język, jakim to wszystko wyraża. Prosty język, cudownie klarowny, uwolniony od wcześniejszej specjalistycznej terminologii. Cudownie lekki, zrozumiały, wolny od balastu akademickiej filozofii, socjologii, a zarazem zniewalająco logiczny. Żadna z proponowanych przez nią, świetnych przeciw, interpretacji „Fausta”, „Elegii Duinejskich”, zdań Stanisława Brzozowskiego albo Alice Miller czy Junga, nie jest podana inaczej, niż jako zaledwie jedna z wielu możliwych. Chcesz ją przyjąć? Ależ weź. Nie chcesz? Ciekawa jestem, co wolisz? Tu bowiem rządzi prawo wyboru własnej ścieżki i jedynym może warunkiem, jaki stawia Jadwiga Wais, jest zdolność do współodczuwania.

Tak jak w baśni. Przecież pamiętamy: wygnany z domu chłopiec na rozstaju przysiadł, wyciąga sobie chleb, pogryza, a wtem ktoś go prosi o poczęstunek. Jakaś babinka z naręczem chrustu na grzbiecie, jakiś żebrak, jakiś obwieś-wagabunda. Oj, daj, takim głodny! Z dobroduszną skwapliwością albo przełkniętą

lą żalu (wszak jest głodny) bohater częstuje tę postać, no i wtedy właśnie zaczyna się opowieść już naprawdę. Ten ktoś albowiem z pięknej wdzięczności albo z przekąsem udziela rady, którędy pójść. Pamiętamy, miejscem spotkania jest rozstaj dróg, ścieżek. Jeśli postacią napotkaną jest zwierzątko, bohater zaczyna rozumieć mowę zwierząt. Ni stąd ni zowąd, ptasi świergot staje się dlań semantyczny i zbawienny, jak gdyby jego zrozumiałość była niczym innym jak scaleniem duchowym. Wais pisała już o tym w eseju „Rzeczywistość duchowa” w książce „Gilgamesz i Psyche”: *Kiedy dochodzi do zerwania komunikacji z własną duchowością, jawi się ona jako obcy, „inny” świat. W tym obcym świecie obowiązuje nieznan nam język.* (str. 27). Wolno więc rzec, że bohater w takiej baśniowej scenie otrzymuje-odzyskuje szósty zmysł, nowy wzrok, nowy słuch. Książka Wais nie ma sensu, jeśli się pominie jej pierwszy rozdział, o współczuciu. Właśnie ono stanowi klucz do skarbcza duszy.

Kosmos u Jadwigi Wais jest wieloraki, koronkowo misterny. Nie jest tylko ludzki i socjalny, a baśniowa resocjalizacja ulicznika takiego jak Aladyn (ja pozwałam sobie przywoływać baśnie w ogóle, a nie tylko braci Grimm) to zaledwie symbol. Baśnie nie są poradnikami jak wyjść na swoje, jak dochrapać się władzy i z chałupy wkroczyć na królewskie pokoje. Pamiętajmy, że z Sezamu Ali Baba weźmie tylko worek złotych denarów, pozostawi zaś stopy drogocennych pierścieni, bele brokatu, wonne korzenie, ozdobne puchary. Bo chce kontynuować zwykłe życie drwala. Zgoła jak drwał u Ezopa. Ten rąbał drewno, siekierka mu wypnęła się, wpadła w trzęsawisko. Drwał oplakiwał utratę narzędzia, jakim zarabiał na chleb, a wtem pojawia się Hermes. Co? Straciłeś siekierkę? I dobry Hermes zanurzył się w błocie jak w chrzcielnicy, i podaje biedakowi siekierkę ze szczerego złota. Nie chcę! To nie moja siekiera! Bóg złodziei, nieco zdziwiony, jeszcze raz znika w błocie i wręcza drwalowi srebrną siekierkę. Nie chcę! To nie ta! Za trzecim razem Hermes oddał mu już tę zwykłą, żelazną z drewnianym trzonkiem. Wybuch radości!

4. Zajęcze tańce ze śmiercią

Królewska korona i złote jabłko to pełnia – i więcej nic. Pełnia księżycowa, dynamiczna, zmienna, paradoksalna. Pełnia inna niż słońce, zaćmiewane czymś pochodzącym z zewnątrz. Gdyż zmienność księżyca wypływa z jego własnej natury. Słońce znika na skutek chmur, mgły, zaćmienia, smogu, a księżyc sam z siebie i nikt tu nie zawinił, ani demon, ani zły Set.

Podobnie śmierć. Już sama jej siwizna jest lunarna. Śmierć puchnie, puchnie, po prostu rozpycha sobą ściany domu, aż nie ma kąta, gdzie by nie czuło się jej obecności, aż –

(Dokończenie na stronie 8)